

Nazywam się Piotr Szpakowicz , urodziłem się dnia 16 czerwca 1930 roku w Białowieży w rodzinie leśnika. Ojciec mój był gajowym w puszczy białowieskiej i chyba z tego powodu cała nasza rodzina była wywieziona na Syberię.

Najwcześniej sięgam pamięcią roku 1935 , ponieważ byłem z mamą w kinie i w kronice pokazywano pogrzeb marszałka Józefa Piłsudskiego , wieziono jego trumnę na lawecie , działa, białe konie.

Do 1939 roku skończyłem dwie klasy szkoły powszechnej i 1.09. 1939 roku miałem iść do szkoły kiedy nadleciały niemieckie bombowce. Widziałem pierwsze bomby które spadły na dworzec kolejowy inne na śródmieście , na cerkiew. Białowieża była niedużą osadą położoną wśród puszczy białowieskiej. Przed wojną mieściła się tam dyrekcja Lasów Państwowych , zarówno ojciec jak dziadek i pradziadek~~kk~~ byli leśnikami. Gdzieś pod koniec września weszła do nas armia sowiecka , wcześniej jeszcze w połowie września przechodziły przez Białowieżę wojska polskie. Pamiętam, że jesień była gorąca a żołnierze byli zmęczeni , spoceni i wycofywali się na Polesie , gdzie mieli stawiać opór wojskom hitlerowskim. Później kiedy na Polskę napadli Sowieci , oddziały polskie cofały się znowu przez Białowieżę , było dużo porzuconej broni.

W roku ~~494~~ 1940 była bardzo ciężka zima , pamiętam , że jedna rodzina uchodźców z centralnej Polski cofając się pozostawiła chorego konia, który kulał i nie mógł dalej iść. Rodzina ta była u nas i nam zostawiła konia. Poprzednio nigdy konia nie mieliśmy , mieliśmy domek , mieliśmy hektar ziemi. Ja byłem w rodzinie trzeci miałem dwóch braci starszych i jednego młodszego , w ~~styczu~~ i w październiku urodziła się młodsza siostra.

Dnia 9. lutego wyszło zarządzenie , że ci co mają konie muszą się zgłosić o północy w określonym miejscu, z furmankami. Ojciec początkowo nie chciał jechać , ale przyszedł sąsiad i powiedział , że będzie duża kara.

Nikt nie wiedział w jakim celu są spędzeni ci ludzie , okazało się, że po to aby zabierać tych , którzy byli wywożeni na Syberię.

O godzinie czwartej dnia 10 lutego rozległ się łomot do drzwi , było dosyć ciemno , mama otworzyła , wpadło chyba pięciu wojskowych do mieszkania i powiedzieli , że nas będą wywozić. Mama była przerażona myślała , że nas wszystkich wywożą i rozstrzelają. Straciła zupełnie głowę. Z nami mieszkała jeszcze babcia 76 letnia , która kategorycznie oświadczyła, że nigdzie nie pojedzie. Na nic się to nie przydało. Moja młodsza siostra leżała w kołysce i strasznie płakała , a NKWDzista przyparkł mamę do pieca i kazał trzymać ręce do góry. Robili rewizję , cenniejsze rzeczy zabierali do kieszeni , zegarki z biurka , brzytwę ojca i inne. Później dali nam pół godziny czasu na spakowanie , w pośpiechu wzięliśmy tylko to co mama kazała nam ubrać , maleństwo zawinęła mama w kocyk. Wszystkich nas posadzono na sanie , zanesiono babcia która nie chciała jechać i zawieziono nas na dworzec kolejowy.

Do dworca było około dwóch kilometrów , był straszny mróz , tego dnia wymarzły wszystkie drzewka owocowe w Białowieży. My ledwo dojechaliśmy do dworca , tam stał już zestaw wagonów towarowych , otworzyli drzwi i nas powrzućali do wagonu i zamknęli drzwi.

Mój ojciec w tym czasie przywiózł inną rodzinę na dworzec. Taki Żyd z komitetu do niego podszedł i powiedział " Panie Aleksa-ndrze pana rodzina jest już w wagonie , może czegoś nie wzięli , ma pan konia niech pan jedzie i przywiezie ". Ojciec wszedł do wagonu , drzwi się zamknęły , fura z koniem została na stacji kolejowej. Trzymano nas tam chyba do godziny dwudziestej wieczorem w tym czasie jeszcze ludzi dowożono. Pamiętam , że było bardzo ciasno , transport ruszył w nocy.

Jak długo jechaliśmy nie bardzo pamiętam , w Baranowiczach było przesadzanie nas do innych wagonów.

Były t-o wagony również bydłące ale dostosowane do szerokich torów, Przesiadka odbywała się w nocy i wielu ludzi straciło ten dobytek który zdołali ze sobą zabrac. My nic ze sobą nie mieliśmy wszystko zostało w domu. Już na trzeci dzień nasz transport ruszył na wschód wieźli nas około miesiąca. Pociąg zatrzymywał się raz dziennie aby dyżurni mogli przynieść prowiant. Karmili nas raz dziennie , dawali zupę i chleb oraz wodę. Wyznaczeni dyżurni po to chodzili , pod konwojem enkawudzisty.

Zawieźli nas za Nowosybirsk , stacja graniczna Ciażyn , to było około trzysta kilometrów na wschód za Nowosybirskiem. Tam zaczęli wyładunek z pociągu i załadowali nas na samochody ciężarowe. Wieziono nas samochodami ciężarowymi chyba sto kilometrów , bo była jaka taka droga. Potem przesadzono nas na furmanki i sanie i wieziono zamarzniętą rzeką sto kilometrów. Zawieziono nas w Góry Ałtaj , nazywało się to zółotyje prijska , złote kopalnie. Zawieziono do osady , nie był to obóz bo nie było drutów kolczastych. Była to osada składająca się z kilkunastu baraków i rozmieszczono nas w tych barakach, nad nami był komendant nazywał się Kotyszew i dwóch dozorców. Nie wolno nam było osady opuszczać , nie wolno było z innymi osadami się kontaktować. W niektórych osadach przebywali wywiezieni Polacy , w innych także ich obywatele, rozkułaczeni. Za czasów carskich wywożono tam polskich rewolucjonistów. Osada liczyła około trzech tysięcy.

Kopaliśmy tam złoto. Są dwa rodzaje złota jedno w charakterze rudy , coś w rodzaju białego kamienia, naszego krzemienia. Taki kamień wydobywało się w prymitywnych warunkach z kopalni , wywożono na powierzchnię taczkami i później złotą rudę trzeba było workami transportować do fabryki. Była ona na dole w osadzie , a kopalnie były wśród wysokich gór. To była fabryka parowa , widziałem jak to wygląda , duży kocioł w którym dwa ogromne metalowe

obraczały się i męzki rudę na proszek. Pompą była doprowadzana woda i ten miał kierowano do specjalnego koryta w którym była rtęć. Rtęć zbierała złoty pył. To było złoto wydobywane na skalę przemysłową. Drugi rodzaj złota to były tak zwane samородki, czyli małe grudeczki, wyglądało to jak zwykły złoty kamyczek tylko od kamyków cięższe. Można było to zbierać na własną rękę. Wydobywali też to na ~~własną rękę~~ skalę przemysłową. Otaczali teren płotem, podprowadzali rowami wodę, na końcu była rura którą rozmywano teren. To wszystko było kierowane do dużego koryta zastawionego palikami i tam zatrzymywały się grudki złota. Duże głązy rozsadzano dynamitem i kobiety wносиły je z tego terenu. Teren taki był olbrzymi, czasami około tysiąca metrów. Moja mama wносиła kamienie przy tym pracowała. Trzeba wiedzieć, że było tam bardzo zimno, ale zimia nie była zmarznięta. Zima trwała dziewięć miesięcy, było dużo śniegu ale ziemia nie zamarała. Uni to myli nawet w zimie, nie było żadnej odzieży ochronnej, butów gumowych, kobiety wносиły kamienie brodząc po kostki w wodzie.

Ja z braćmi woziliśmy rudę wydobywaną w kopalni, w krócej pracował ojciec do fabryki. Zimą woziliśmy saniami, jeden worek ważył około stu kilogramów. Latem była specjalnie ułożona zbroczem góry droga z okrągłaków, przy układaniu gó której pracowały kobiety. Taki trakt miał od sześciu do dziesięciu kilometrów. Za to dostawały wypłatę trzydziści kopiejek za dobę. Mieliśmy przymusowe racje żywności, po dwadzieścia deko chleba na dobę dla niepracujących- czyli nas dzieci i po czterdzieści deko dla pracujących. Nic poza tym nie można było tam kupić, chleb był na kartki, tylko bez karteek była sól i musztarda. Kiedy przynoszono chleb mama dzieliła go na porcję, każdy mógł zjeść zaraz lub podzielić. Można było użyć chleba do zupy, do gotowanej wody dodawano sól i musztardę i kruszyło się chleb. To sobie robił każdy indywidualnie.

zaopatrzenie odbywało się tylko w zimie , po zamarznętej rzece , wykopywano w lodzie drogę i przywożono prowiant na rok.

Zimą roku 1940 na 1941 zabrakło mąki zaczął się głód , Ludzie zaczęli umierać z głodu. Nasza rodzina też była obrzęknięta z głodu. Później ojciec pokazał laski dynamitu , którymi miał wysadzić całą rodzinę , żebyśmy umarli wszyscy razem. Wymarło pół osady , całe zbocze góry pokryło się białymi krzyżami. Zobaczyli że ludzie umierają i z innego osiedla przetransportowali kilka ton mąki z zapasów i tym nas uratowali.

Tam były mrozy nie tak może straszne ale były okropne zawieje , co jakiś czas trzeba było odkopywać barak. Pamiętam , że pierwszego dnia bardzo chciało się jeść , drugiego i trzeciego też , czwartego to już marzył o świątecznym zastawieniu stołu i myślał dlaczego wtedy nie jadł , może teraz nie chciałoby się jeść. Próbowaliśmy parzyć spróchniałe drzewo , korę ale nie daje się tego jeść. Do wiosny jakos doczekaliśmy. Za kontaktowanie się z innymi osadami groziła nam kara , w ziemi była wykopana jama i Polaka trzymano tam za karę , najczęściej trzy dni ale czasami i tydzień. Często komendant bez żadnej przyczyny w tej jamie trzymał.

Kiedy wybuchła wojna z Niemcami , w 1941 roku w czerwcu , wydano zarządzenie , że jeśli spotkają Polaka w innej osadzie to mają prawo a nawet obowiązek go zabić. Od tego czasu kto nawet chodził , żeby wymienić coś na żywność , wstrzymał się z tymi wyprawami.

Złota w postaci samorodków mogliśmy szukać po pracy , było to bardzo ważne bo za gram złota , które oddawało się w kantorze można było otrzymać sześć kilogramów chleba bez kartek. Tylko raz udało mi się znaleźć ponad gramowy kamyk złota i dostałem sześć kilo chleba . Było wtedy duże święto w rodzinie , czasem zdarzało

się myć piasek po kilka godzin dziennie i nic nie było , albo drobinki były tak małe , że po tygodniu dopiero nosiło się do katoru , żeby mieć za to chleb. Praca ojca i matki trwała po dziesięć godzin. Przymusowo. Nasza praca była nieograniczona czasem , ale im się więcej rudy przewiozło , tym więcej dostawało się kopiejk , bo przydziałowe normy chleba trzeba było kupić. Musieliśmy pracować osiem godzin , reszta zależała od nas.

W kopalni pod ziemią było bardzo mokro , w wolnych chwilach nosiłem ojcu ugotowaną lebiodę czy szczaw , bo latem były. Ojciec był przemoczony , ci ludzie wychodzili bardzo zmarznięci.

Później po zawarciu umowy z rządem Sikorskiego , jesienią zjechało dużo NKWDzistów , spędzili nas na plac i oznajmiono nam że jesteśmy wolni , możemy jechać , gdzie chcemy. Nadchodziła zima, każdy ruszył aby wyrwać się z gór , gdzie zima trwała dziewięć miesięcy. Jedyńm sposobem wydostania się z gór była rzeka , Kieja dzika górską rzeka. To co jeszcze było powiązane , zrobiono tratwę z cedrów , ponieważ tam rosły. Ojciec , mój najstarszy brat i ja załadowaliśmy się na tratwę. Reszta rodziny i Polaków ruszyli przez góry do miejsca skąd można było przedostać się dalej.

Najstarszy był brat był cztery lata starszy , następny dwa lata starszy , jeszcze jeden był o pięć lat młodszy z najmłodszym i najstarszym bratem ruszyliśmy tratwą. Była już jesień , woda już zamarzała , płynęliśmy tą tratwą nieszczęśliwie , rozbiliśmy się. Młodszeo brata wyratował ojciec , starszy sam się ratował , mnie woda wyrzuciła pół kilometra dalej. Tratwa przewrócona na głazie , rzeczy nasze były przywiązane drutem , dlatego nie zginęły. Nie było jak się wysuszyć , bo nie mieliśmy zapalek. Ojciec kazał nam iść przed siebie , podeszliśmy kilometr i zobaczyliśmy dym.

Okazało się , że mieszkał tam rybak , potomek Polaka

zesłanego za działalność w Związku Filomatów czy Filaretów i pamiętał jeszcze kilka polskich słów od dziadka np. herbata. Miał on żonę , dzieci. Ci ludzie nas uratowali u nich się wysuszyliśmy , pomogli nam zabrać rzeczy z tratwy na brzeg , wysuszyć je i od nowa zbudować tratwę. Kiedy przypłynęliśmy mama z resztą rodzeństwa i babcią już byli na miejscu , nam wypadek zajął cztery dni.

Po połączeniu z rodziną wynajeliśmy furę, dojechaliśmy do stacji kolejowej Ciałzyn , tu wykupiliśmy bilety na Ural , bo tylko tam można było jechać , Niemcy w tym czasie podchodzili pod Moskwę. Dojechaliśmy do Czelabińska , to jest stacja graniczna między Rosją europejską a syberyjską. Tam było bardzo dużo uchodźców , na olbrzymich poczekalniach było bardzo dużo Żydów uciekających z terenów zajmowanych przez Niemców. Pomimo , że bilety mieliśmy wykupione do samej Ufyy , miasta na Uralu , to oświadczone że pociągów jadących dalej na zachód nie będzie. Bilety można było zwrócić do specjalnych kas. Ojciec biletów nie oddał i okazało się że w nocy znalazł się dodatkowy pociąg i dojechaliśmy do Uralu , stacja Igłino, stamtąd dostaliśmy się do kołchozu i resztą czasu spędzaliśmy w kołchozie.

To był kołchoz Budionnego i cała nasza rodzina pracowała w kołchozowym ogrodzie. Robiliśmy to co wszyscy , oraliśmy , bronowaliśmy , później starszego brata powołano do wojska , trafił do dywizji kościuszkowskiej . Powołano ojca ale trafił do batalionu roboczego i pracował w mieście w fabryce zbrojeniowej , później został zwolniony z powodu stanu zdrowia.

Kiedy powstał Związek Patriotów Polskich mieliśmy różne kłopoty , namawiano ojca abyśmy nie wracali , że to właściwie to samo , namawiano do przyjęcia obywatelstwa radzieckiego.

W kołchozie nie było żadnej polskiej rodziny , trafiliśmy tam ponieważ w czasie pierwszej wojny światowej ktoś z babci

znajomych osiadł w tym kołchozie , nawiązaliśmy kontakt .  
Pracowaliśmy tam na roli , były bardzo urodzajne gleby , najlepiej  
rodziły ziemniaki. Dostaliśmy opuszczony barak , dom , który sami  
wyremontowaliśmy , opału było pod dostatkiem a my byliśmy już po  
tajgach syberyjskich zahartowani. Ponieważ z czegoś trzeba żyć  
ojciec choć nie był szewcem założył warsztat szewski , ludzie cho-  
dzili tam w butach z drzewa lipowego , ale na święta mieli buty  
skórzane. Trzeba było te buty podzelać , podłatać i ojciec za-  
rabiał bo ktoś mleka przyniósł itd. Z jedzeniem było znacznie  
lepiej , dostaliśmy kawałek nieużytków , skopaliśmy szpadlami i  
posadziliśmy ziemniaki . Urodzaj był taki , że ziemniaków star-  
czyło prawie na całą zimę. Płace były bardzo słabe , ojciec ,  
matka i brat pracując cały sezon w kołchozie zarobili razem  
szesnaście kilogramów zboża. Zboże męłło się w żarnach , robiło  
z tego chleb czy placki , dodając lebiodę nasiona , którą można  
było otrzymać jak odbywała się młócka w kołchozie. Nasiona leciały  
osobno , można było brać . Do nasion i zboża dodawaliśmy obierki  
z tego robiło się ciemną mąkę i piekło namiastkę chleba.

W tym czasie nie mieliśmy kontaktu z rodziną w Polsce.  
Kiedy w mieście rejonowym powstał ZPP , na jego czele stanął Zyd  
o nazwisku Landau , który wrócił do Warszawy. Pamiętam pana  
Brzozowskiego , któremu nie pozwolono wrócić do Polski. w Komitecie  
rejonowym ZPP powiedziano mu , że nie może wrócić , bo co by było  
gdyby takim reakcjonistom pozwalano wrócić do Polski.

W kołchozie świętowano 1 maja i rocznicę Rewolucji Paździe-  
rnikowej , robiono wtedy festyny , zabijano kilka świń , każdy  
mógł się najeść. Zdarzały się w kołchozie głodne wiosny ale ci  
ludzie byli do tego przyzwyczajeni , jedli wtedy lebiodę , pocho-  
dzili do tego z pogodą. Jak kołchoźnice wracały z pola to śpiewały  
choć wiem , że były głodne.



Naszej rodzinie dopisywało raczej zdrowie , jedynie ja miałem atak wyrostka robaczkowego , byłem operowany , zawieziono mnie do szpitala około dwudziestu kilometrów od kołchozu. Nie było w tym czasie leków , chorych było bardzo dużo głównie na tyfus. Operowano mnie na żywcą , na czwarty dzień po operacji szedłem pieszo do kołchozu trzymając się w okolicach rany , która później rozszedł się i ropiał.

ZPP pomagał , rozdzielając pomoc UNNRY , na wiosnę 1944 roku w czasie głodu otrzymaliśmy z paczek masło , konserwy , oraz inne produkty dzięki czemu mogliśmy pomóc tym biedakom , którzy umierali z głodu. Trzeba pamiętać , że była wojna , że z miasta szli ludzie i nieśli cą tylko mieli, żeby wymienić na ziemniaki. Każdy z kołchoźników miał działkę przyzagrodową , o powierzchni czwartej części hektara a urodzaj na ziemniaki był dobry , mogli więc wymieniać. Dyscyplina w mieście była straszna , robotnik nie miał prawa protestować , wszystkie fabryki przestawiono na tory produkcji wojennej , Sąsiad w naszym kołchozie dostał dziesięć lat bo porównał do Hitlera , Stalina.

Odzież dostawaliśmy od dobrych ludzi , bo była u nas kupa dzieciaków. Kiedyś zrobili nam zebranie i powiedzieli , że Polski nigdy nie ujrzymy , jak świnia nie ujrzy nieba. Później przyjechali i powiedzieli , że jesteśmy wolni, możemy jechać , gdzie chcemy.

W kołchozie można było kupić fufajkę , ciepłą , chodziliśmy w butach z lipowego łyka. To było ciepłe i dobre obówie , robiło się buty z łyka polewało wodą to zamarzało można było cały dzień chodzić było ciepło. Umiejętność uplecenia butów posiadaliśmy , ja do dziś potrafię takie coś zrobić.

W kołchozie byliśmy do 1946 roku , zebrał się cały transport , który jechał na ziemie odzyskane , my oddzieliliśmy się w Lublinie , wróciliśmy do Białowieży. Nasz dom był zdewastowany,

zastaliśmy gołe ściany , okna były powybijane , płot spalony , sad zdewastowany. Wszystko co mieliśmy zostało w domu i wszystko straciliśmy. Trzeba było zacząć od nowa. Ojciec poszedł do pracy jako gajowy , niedługo pracował , aresztowano. W domu zrobiono dokładną rewizję , ojca aresztowano, siedział rok do sprawy sądowej.

Brat do Polski wrócił pierwszy chociaż nadal był w wojsku , wrócił razem z Dywizją Kościuszkowską. Mama zaczęła chorować , po powrocie z Syberii straciła wszystkie zęby , miała straszny reumatyzm. Ojciec przeżył dwa zawały , więzienie zrobiło swoje , był sądzony w Białymstoku przez sąd wojskowy. Nic nie mogli ojcu udowodnić , choć był osądzony o szpiegostwo , szukali aparatury nadawczej.

Wróciliśmy 16 kwietnia. Wagony nasze były bardzo udekorowane, było dużo Żydów w transporcie , karmiono nas przyzwolcie , można było wychodzić z wagonów . Nie pilnowano nas , był tylko kierownik transportu , oraz ktoś kto załatwiał prowiant . Po przekroczeniu granicy wszystkie transparenty zniknęły. Pociąg był udekorowany transparentami , że jedziemy do szczęśliwej Polski Ludowej , postarał się o to Związek Patriotów Polskich.

Ja po powrocie skończyłem przyśpieszoną szkołę powszechną , Wstąpiłem do Liceum Plastycznego w Białymstoku i ukończyłem je . Można było po tym zarabiać projektując dekoracje na 1 maja. Później wstąpiłem do Akademii Medycznej w Białymstoku , skończyłem ją , jestem lekarzem neurochirurgiem.

wywiad przeprowadzono: 12 maja 1992

Rodnicowichówna